

JEZUICI

© POWOŁANIU
W POWOŁANIU



Co oni tam będą robić?

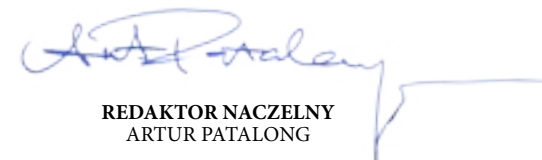
Jest ich trzech. Jadą w tym samym kierunku, chociaż o tym nie wiedzą. Przecież się jeszcze nie znają. Piotrek to długowłosy miłośnik przeginania struny – przede wszystkim tej gitarowej, specjalizujący się w rockowych solówkach i cieszący się nienaganną obecnością – na Woodstockowych imprezach. Lubi dobrze wyglądać, o co pieczołowicie dba: zawsze podarte jeansy. Skórzana kurtka zaś i glany dopełniają jego rockowy image. Tomek natomiast prezentuje się nieco inaczej. By rzecz wprost – bardziej normalnie. Sportowa sylwetka; włosy przystrzyżone, spodnie w kant założone – to jego styl. Właśnie ukończył prawo. I miał zacząć notarialną aplikację. Miał. Wybrał jednak inaczej – zresztą nie prawniczą, tylko sportową karierę by wolał, bo do kopania futbolówki ma po prostu dryg. Chłopak z przedziałkiem po lewej stronie i w stylizowanych na Harry'ego Pottera okularkach to z kolei Bartek. Właśnie coś czyta, bo zawsze coś czyta. Literatura to jego konik. Bartek niedawno opuścił seminarium. Bo rozeznał, że jego miejsce jest tam, dokąd właśnie zmierza.

Autobus zatrzymuje się obok potężnego gmaszyska. Piotrek, Bartek i Tomek wysiadają. I kierują się w stronę bramy, na której widnieje napis: „nowicjat”. Furta się otwiera. Wskakują jeden po drugim... – chłopaki odczuli bowiem powołanie i postanowili zostawić dotychczasowe życie, by pójść za Chrystusem. Na początku czeka ich nowicjat. Ale co potem? Co oni tam właściwie będą robić? Czym się będą zajmować? Co takiego robią zakonnicy? No właśnie, co?

Na te pytania postaramy się odpowiedzieć w najnowszym – jubileuszowym, bo 50. numerze **Jezuici Nasze Wiadomości**, którego tematem jest właśnie „powołanie w powołaniu”. Swoją historią podzieli się z Wami sześciu zakonników: czterech jezuitów, w tym jeden brat zakonny, oraz werbista i franciszkanin.

Ale najpierw o tym, czym w ogóle jest „powołanie w powołaniu”, specjalnie dla JNW pisze bp Grzegorz Ryś.

Życzę owocnej lektury.


REDAKTOR NACZELNY
ARTUR PATALONG



Może być ich wiele...

**- o powołaniu w powołaniu
pisze dla JNW bp Grzegorz Ryś**

Czym jest powołanie w powołaniu? Odpowiadając na to pytanie, najlepiej zacząć od świadectwa Ewangelii, które pokazuje, że powołanie nie jest wydarzeniem jednorazowym, tylko procesem – tak jak wiara jest drogą. Pierwsze powołanie, które się ma, to powołanie uczniowskie, co dokładnie widać na przykładzie Apostołów. I dopiero na tym powołaniu może być budowane każde inne. Wchodzimy więc do szkoły Jezusa, aby iść za Nim. I to jest powołanie nieodwołalne. To jest dar – być uczniem Jezusa. Nieodwołalny i fundamentalny. W ramach tego daru zaś mogą

się pojawić inne, np. Jezus powołuje swojego ucznia na Apostoła – co już jest innym powołaniem. W gronie Apostołów z kolei ukazują się kolejne, Szymon bowiem zostaje Piotrem, a Jan i Mateusz Ewangelistami. Do tego może jeszcze dochodzić wezwanie do dania radykalnego świadectwa, jakim jest męczeństwo. Na przykładzie najbliższych Jezusowi osób można zatem zobaczyć, jak ich życie się zmienia i jak zmienia się ich powołanie w konkretnych sytuacjach – Szymon zostaje Piotrem. Jest Piotrem i w Antiochii, i w Rzymie, lecz to już nie jest to samo powołanie.

Powołanie w powołaniu wynika z kilku rzeczy. Może być skutkiem darów, które człowiekowi są dane. Nazywamy to najchętniej „charyzmatem”, „posługą” lub „działaniem”. Te trzy terminy zaczerpnięte z 12. rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian mówią o darach, które człowiek osobiście otrzymuje do budowania Kościoła. Skoro dostał taki dar, jest w niego uposażony, to oznacza, że jest też wezwany do tego, aby służyć nim Kościołowi.

A gdyby jeden czy drugi kandydat opierał się – mówi Grzegorz Wielki – „takiemu człowiekowi Kościół pluje w twarz”

Inny rodzaj powołania wiąże się z potrzebami Kościoła – ktoś ma powołanie do bycia kapłanem, a Kościół potrzebuje rektora Seminarium Duchownego albo szuka profesora teologii moralnej. Jest to temat, który rzadko podejmujemy. Bo dzisiaj o powołaniu mówi się w kategoriach wewnętrzno-psychologicznych. Każdy patrzy, jakie ma marzenia, aspiracje, ambicje, upodobania, uzdolnienia. I rozeznaje swoje powołanie, uwzględniając jedynie to. A taka postawa mija się z tym, jak podchodził do powołania starożytny Kościół, który np. niczego nie spodziewających się ludzi mianował prezbiterami albo biskupami. Bo miał taką potrzebę. A gdyby się jeden czy drugi kandydat opierał – mówi Grzegorz Wielki – „takiemu człowiekowi Kościół pluje w twarz”. Bo gdzie tu jest myślenie kategoriami powołania i służby?

Powołań w powołaniu może być wiele. Fundamentalne jest to uczniowskie, lecz ono może ewoluować. Spójrzmy na Jana XXIII. Chciał być prostym księdzem, a został wykładowcą historii Kościoła. Po czym trafił do dyplomacji papieskiej, i właściwie całe swoje kapłańskie życie pracował jako dyplomata. Potem mianowano go patriarchą Wenecji, a następnie obrano papieżem. I dopiero wtedy, gdy go wybrano następcą św. Piotra, został prostym kapłanem, którym zawsze chciał być. Zauważmy zatem, jak bardzo musiał być plastyczny w stosunku do Ducha Świętego, który stawiał go ciągle przed nowymi wyzwaniem, i to bardzo różnymi od tego, czym się poprzednio zajmował. Każde miejsce jest więc nowym powołaniem. Jest powołaniem w powołaniu, bo Bóg stawia nas wobec nowych wydarzeń. Najważniejsze, aby poddać się Jezusowi, który pokazuje na Kościół. Pokazując zaś na Kościół, wskazuje też potrzeby, które w nim są. Jeśli się o tym zapomni, można nazwać powołaniem coś, czym ono nie jest. ■

**BP GRZEGORZ
RYŚ**

Biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej, historyk kościoła, wykładowca akademicki, autor książek.

Modlitwa w drodze

Modlitwa w drodze to codzienne kilkuminutowe modlitwy w formie dźwiękowej i tekstowej oparte na Ewangelii, połączone z dobrą muzyką.

Darmowa aplikacja pozwala na stworzenie indywidualnej bazy ulubionych medytacji oraz podzielenie się nimi w mediach społecznych. Aplikacja działa w pełni również offline.

Modlitwa w drodze pozwala użytkownikom modlić się wszędzie gdzie są i kiedy chcą

www.modlitwawdrodze.pl

e-mail: redakcja@modlitwawdrodze.pl



SPIS

10



Najważniejsze w powołaniu „filmowym” jest życie duchowe. Bo bez ciągłej modlitwy, bez refleksowania nad tym, co i po co robię, daleko się nie zajedzie.

Damian Wojciechowski – jezuita, filmowiec, misjonarz

16



Granice są moim powołaniem. Do tego przez lata dojrzałem i w tym czuję się najlepiej.

Jacek Prusak – jezuita, psycholog, psychoterapeuta, wykładowca akademicki, publicysta

20



Pokochałem to moje drugie powołanie, które zmieniło mnie z długowłosego jezuity, który krąży po ulicach w poszukiwaniu naćpanej młodzieży, w statecznego ojca dyrektora.

Wojciech Żmudziński – jezuita, dyrektor Centrum Kształcenia Liderów i Wychowawców, autor książek i wielu artykułów

TREŚCI

26



Wszystko, czym potem dzieliłem się z innymi, dając „Ćwiczenia”, najpierw sprawdzałem na sobie.

Józef Augustyn – jezuita, kierownik duchowy, rekolekcjonista, autor książek

30



Bycie misjonarzem to jednak nie jedyne moje zadanie. Jest też drugie (...) czyli odkrywanie i utrwalanie duchowego dziedzictwa jezuitów na tym obszarze.

Piotr Nawrot – werbista (SVD), misjonarz, muzykolog, wykładowca akademicki

34



W pracy z młodzieżą ważne jest, aby rozwijać predyspozycje, które się ma: w moim przypadku sport i muzykę, bo są to moje dwie pasje, w których mam taki „Boży dopalacz”.

Łukasz Buksa – franciszkanin (OFM), duszpasterz młodzieży, promotor powołań

Brat Reżyser

Damian Wojciechowski SJ

Na pierwszym roku nowicjatu pojawiło się we mnie pragnienie pracy w telewizji i w filmie. Jednak nawet mnie samemu ta idea wydawała się tak dziwna, że nie wspomniałem o niej prowincjałowi – w tamtych czasach szefem Radiokomitetu był Jerzy Urban. Ale już rok później...

W przypadku kapłana „powołanie w powołaniu” nie jest zazwyczaj czymś, co stanowi o jego tożsamości, bo czym by się nie zajmował, to przede wszystkim ma za zadanie odprawiać Mszę Świętą, spowiadać i głosić Słowo Boże. Inaczej jest z bratem zakonnym: wykonywana przez niego praca określa całe jego powołanie, a wielu braci przez całe swoje życie wykonuje te same zadania.

W naszym domu na Rakowieckiej w Warszawie przez kilkadziesiąt lat ogrodnem zajmował się brat Stefan Franczak. Dlatego zwano go „brat ogrodnik”. A był takim specjalistą, że wyhodował kilkadziesiąt odmian klematisów i liliowców. Z kolei na tym samym piętrze, na którym ja mieszkam, swoją pracownię malarską ma brat Bronisław Podsiadły. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Rzymie i całe życie zajmuje się malarstwem, dlatego nazywamy go „bratem malarzem”. Jego sąsiadem jest zaś „brat igielka”, czyli brat Andrzej Wiącek, który ma tam pracownię

krawiecką i przez całe swoje życie zakonne szyje i łąta nam ubrania. W zakonie może być jeszcze np. „brat kucharz” czy „brat zakrystianin”. Bo każdy brat jest od czegoś...

„BRAT OD TELEWIZJI”

Wstąpiłem do Towarzystwa pod koniec komunizmu. Na pierwszym roku nowicjatu pojawiło się we mnie pragnienie pracy w telewizji i w filmie. Jednak nawet mnie samemu ta idea wydawała się tak dziwna, że nie wspomniałem o niej prowincjałowi – w tamtych czasach szefem Radiokomitetu był Jerzy Urban. Ale już rok później upadł komunizm. Wtedy o swoich pragnieniach powiedziałem przełożonym. Prowincjał się zainteresował, bo właśnie trwały rozmowy, aby jezuici poprowadzili powstającą na Woronicza redakcję katolicką. Jednak zanim trafiłem do telewizji, wysłano mnie na filozofię do Krakowa. Tam dodatkowo uczyłem się na zajęcia z estetyki i filozofii kultury na UJ i PAT, na filmoznawstwo, a nawet filozofię ▶



dramatu, którą na wydziale reżyserii w Szkole Teatralnej prowadził ks. Tischner. Choć muszę przyznać, że cała ta edukacja na niewiele się zdała w mojej przyszłej pracy w telewizji, gdzie trafiłem zaraz po studiach. Był to niezwykle ciekawy okres w moim życiu, w którym uczyłem się na własnych błędach i sukcesach.

Jak ryba w wodzie czuję się, pracując z ludźmi mediów, którzy są zazwyczaj daleko od Kościoła. W sensie duszpasterskim kontakt z nimi jest według mnie tak samo ważny jak sama praca filmowca

Bo choć przed wstąpieniem bawiłem się trochę kamerą, a nawet sam wywoływałem taśmę filmową, to okazało się, że niewiele mnie to nauczyło. I tak zostałem „bratem od telewizji” czy „od telefonów” – jak mawiał sędziwy brat Adam Lewandowski, który tych dwóch urządzeń nie odróżniał.

„WYBACZ MI SIERGIEJ”

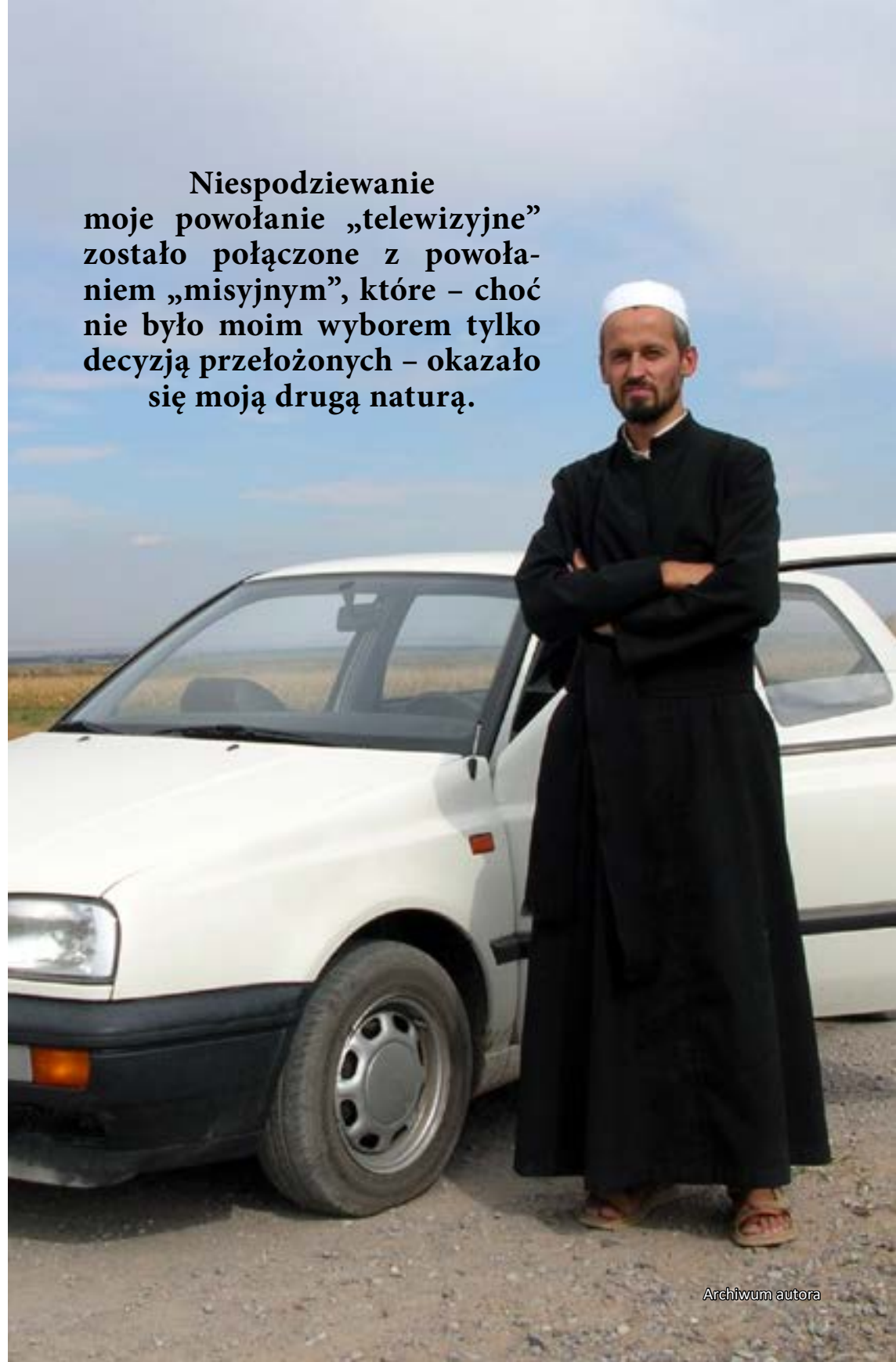
W 1996 roku nowy prowincjał powie-dział mi, że szukają chętnych do pomocy przy zakładaniu katolickiego studia telewizyjnego w Nowosybirsku. Zgodziłem się, prosząc zarazem o możliwość podjęcia profesjonalnej nauki w dziedzinie filmu. Musiałem głębiej zapoznać się z techniką telewizyjną, a także z organizacją produkcji, sprawami finansowymi i organizacyjnymi, kierowaniem zespołem, a nawet z budową studia telewizyjnego. W 1999 roku rozpocząłem studia w szkole

filmowej w Moskwie, które ukończyłem filmem dyplomowym „Wybacz mi Siergiej”. I tak też stałem się „Bratem reżyserem”. A moje powołanie „telewizyjne” zostało niespodziewanie połączone z powołaniem „misyjnym”, które – choć nie było moim wyborem tylko decyzją przełożonych – okazało się moją drugą naturą.

W PIŁKĘ Z MUŻULMANAMI

Nieoczekiwanie w 2004 roku zostałem wysłany do Kirgistanu do pomocy miejscowemu, małemu Kościołowi. W Nowosybirsku przeważało moje powołanie „telewizyjne”, tu zaś byłem przede wszystkim misjonarzem. Znowu musiałem się uczyć wielu rzeczy: naprawiać samochody, zajmować się budownictwem i sprawami prawnymi. Jednak przede wszystkim zaangażowałem się w duszpasterstwo i pracę charytatywną, co było dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Pracowałem jako kapelan w więzieniu i pomagałem w domach, które zamieszkiwały osoby niepełnosprawne i niedołążne. Założyłem także fundacje zajmujące się wsparciem dzieci inwalidów, a nawet wybudowałem ośrodek rehabilitacji dzieci niepełnosprawnych. W Dżalalabadzie i na południu Kirgistanu, gdzie współtworzyłem nową parafię, żyło tylko 30 katolików i aż... 3 mln. muzułmanów(!) – mogłem się więc poczuć prawdziwym misjonarzem. Dla muzułmańskich chłopców organizowałem turnieje piłki nożnej, a dla studentów letnie obozy, na których po raz pierwszy mogli się czegoś dowiedzieć o chrześcijanach. Przeżyłem tam dwie rewolucje i jedną wojnę domową. Jednak poza prowadzeniem studenckiego klubu filmowego w miejscowej nuncjaturze z filmem lub telewizją nie miałem nic więcej wspólnego. I tak moje powołanie „filmowe” poszło w zapomnienie. ▶

Niespodziewanie moje powołanie „telewizyjne” zostało połączone z powołaniem „misyjnym”, które – choć nie było moim wyborem tylko decyzją przełożonych – okazało się moją drugą naturą.



„TELEWIZJA DLA ŚLEPYCH”

Za sprawą przełożonych trafiłem na jakiś czas do Radia Watykańskiego. A jak wiadomo, radio to taka „televizja dla ślepych”, więc jasne było, że prędyż czy później wrócę do swojego poprzedniego zajęcia. I tak też się stało. Znowu pojawiłem się na Woronicza; tym razem w związku z przygotowaniem transmisji ŚDM-ów. Zatem po 25 latach wróciłem na „stare śmieci”, a moje powołanie filmowe nie okazało się przypadkowe. Obecnie nie pracuję w żadnej stacji telewizyjnej, choć przygotowuję różne projekty telewizyjne i filmowe. Staram się też trochę pisać, fotografować i robić coś w internecie, ponieważ wydaje mi się, że współcześnie trzeba być aktywnym na wielu frontach, stąd też nie chcę się ograniczać tylko do jednej dziedziny. Jak ryba w wodzie czuję się, pracując z ludźmi mediów, którzy są zazwyczaj daleko od Kościoła. W sensie duszpasterskim kontakt z nimi jest według mnie tak samo ważny jak sama praca filmowca.

„ŚWIAT JEST MOJĄ PRACOWNIĄ”

Moje życie czasami trudno pojąć współbraciom. „Brat malarz” bowiem pracuje w swojej pracowni, „brat ogrodnik” w ogrodzie. A gdzie pracuje „brat reżyser”? Siłą rzeczy moją „pracownią” jest cały świat. Dla przykładu, film dyplomowy kręciłem w Rosji, USA, Kanadzie, Luksemburgu, Anglii, a nawet na Kostaryce. Teraz z kolei montuję serię dokumentalną, którą nagrałem w górach, niedaleko chińskiej granicy. Niebawem wyruszam do Indii i Nepalu, aby nakręcić kolejny film. I choć tematyka duchowa jest dla mnie najbardziej pasjonująca, to jednak tematy typowo religijne nie są jedynymi, które mnie interesują. Poza tym reżyser, aby nie

„zdziaździeć”, musi robić różne rzeczy, a nie tylko filmy o Matce Bożej lub JPII. Dlatego ostatnio nakręciłem film podróżniczy.

Po 25 latach wróciłem na „stare śmieci”, a moje powołanie filmowe nie okazało się przypadkowe

Czy powołanie „filmowe” jest dla zakonnika trudne? Niewątpliwie jest to ciężka praca, zwłaszcza że wiąże się z licznymi napięciami. Nieustannie trzeba się uczyć i szukać nowych pomysłów. Najważniejsze jest jednak to, aby człowiek był pewien, że to jego powołanie. Poznałem wielu księży, którzy pracowali w mediach. Często się tam męczyci. Ksiądz powinien być bowiem dla innych ojcem, w telewizji zaś o to trudno: albo ucierpi na tym kapłaństwo, albo telewizja. Kiedyś podczas zdjęć odwiedziłem jezuicki uniwersytet Loyola Marymount w Los Angeles, który ma wiele powiązań z Hollywood. Pracujący tam jezuita powiedział mi, że przeszedł losy 30 amerykańskich jezuitów, którzy byli poważnie zaangażowani w media. 28 z nich rzuciło kapłaństwo. Dlatego najważniejsze w powołaniu „filmowym” jest życie duchowe. Bo bez ciągłej modlitwy, bez refleksyjowania nad tym, co i po co robię, daleko się nie zajedzie. ■

**DAMIAN
WOJCIECHOWSKI SJ**

jezuita, filmowiec, misjonarz; mieszka w Warszawie.



Turniej piłki nożnej dla drużyn podwórkowych – organizator konkursu brat Damian wręcza nagrodę kapitanowi zwycięskiej drużyny.



Odnaczenie medalem brata Damiana za działania na rzecz pamięci polskich żołnierzy w Kirgistanie podczas odsłonięcia pomnika 5. dywizji piechoty gen. Andersa w Suzak koło Dżalalabadu.

Archiwum autora

Granice są moim powołaniem

Jacek Prusak SJ

Moje powołanie w powołaniu przeżywam jako jezuita pracujący na granicach. Do tego przez lata dojrzewałem i w tym czuję się najlepiej. Taką granicą jest praca w „Tygodniku Powszechnym”, jak i styk psychoterapii z religią i duchowością.

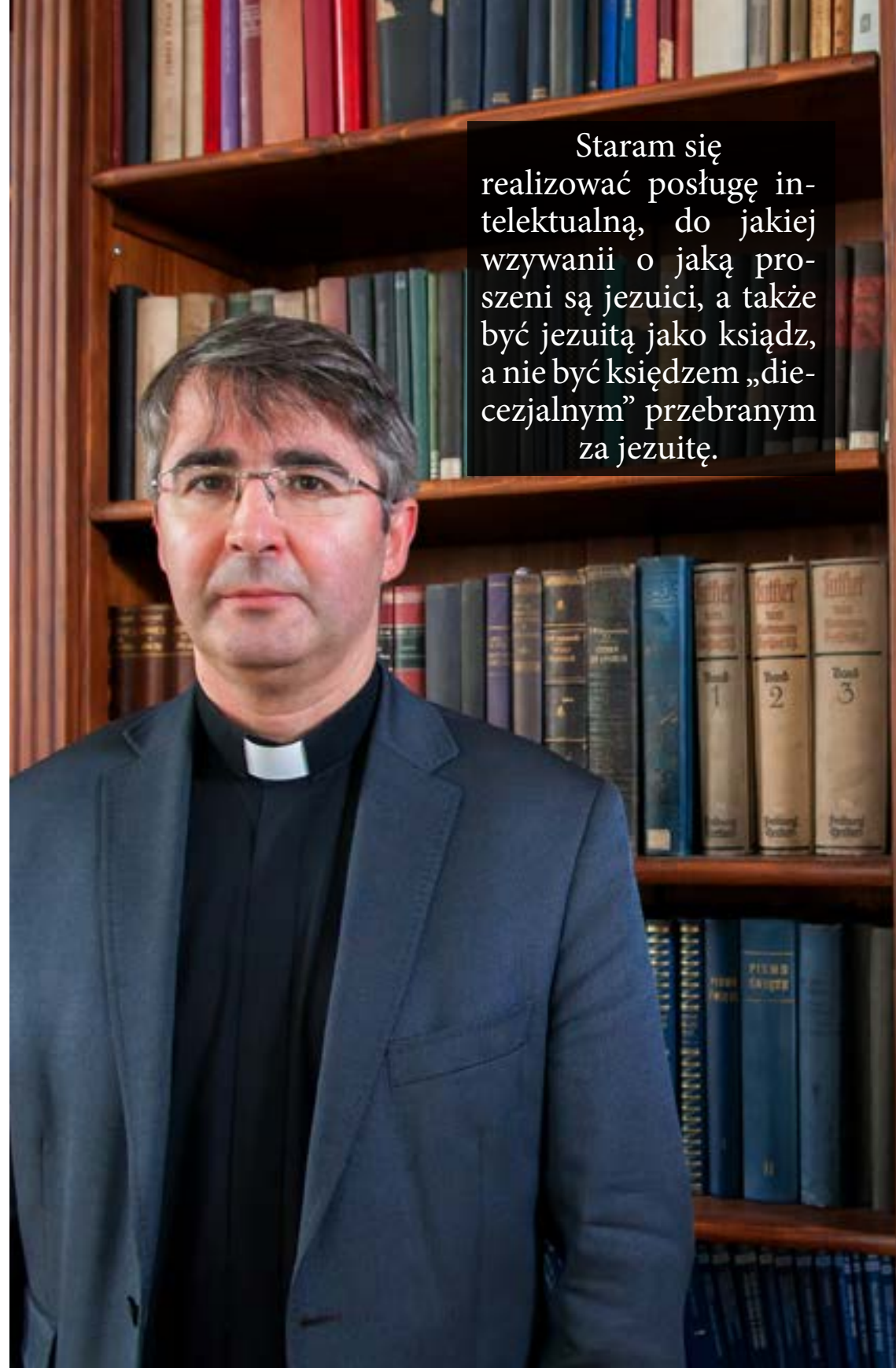
Swoje powołanie w powołaniu odkrywałem stopniowo i dwutorowo. Najpierw krystalizowało się we mnie samo powołanie do kapłaństwa, a dopiero potem sposób, w jaki chciałbym go przeżywać. I choć w liceum jeździłem na skupienia powołaniowe organizowane przez różne zakony lub utrzymywałem z nimi kontakt listowny, to jednak po maturze wstąpiłem do seminarium duchownego w moim rodzinnym mieście, Przemyślu, bo jeszcze nie potrafiłem pogodzić z sobą rozbieżnych – jak mi się wtedy wydawało – pragnień.

Od czasów szkolnych mam zainteresowania interdyscyplinarne – w liceum byłem dwukrotnie laureatem ogólnopolskich olimpiad – z religioznawstwa i filozofii. Oprócz zainteresowań intelektualnych równie mocno kształtowały mnie doświadczenia życiowe i mój charakter. W trakcie formacji seminaryjnej nie opuszczały mnie myśli o zakonie, a poprzez lektury zaczęły fascynować mnie jezuiti. Dlatego podczas przerwy bożonarodzeniowej pojechałem na rekolekcje do

Częstochowy. Po nich byłem już pewien, że seminarium to nie moja przyszłość. I choć już po pierwszym roku byłem gotowy odejść, zewnętrzne okoliczności zmusiły mnie do tego, abym jeszcze przez rok został w seminarium i utwierdził się w podjętej decyzji.

Będąc już jezuitą, kolejnym „miłym” krokiem w rozeznawaniu powołania w powołaniu były moje studia filozoficzne w Krakowie. Ponieważ miałem indywidualny tok studiów, zacząłem chodzić na dodatkowe zajęcia na UJ i PAT. W tamtych czasach wśród scholastyków „intelektualnie wrzało”, miałem więc do tego dodatkową motywację. Początkowo zamierzałem pisać licencjat z filozofii nauki, ale na seminariach u ks. prof. Hellera i bp. Życińskiego uświadomiłem sobie, że mam za duże zaległości z nauk przyrodniczych, dlatego zmieniłem zdanie. A że uczęszczałem także na zajęcia z psychologii i psychologii religii na UJ i zaczęła interesować mnie psychoterapia, to swoją przygodę z filozofią zakończyłem ba- ▶

Staram się realizować posługę intelektualną, do jakiej wzywani o jaką prośzeni są jezuiti, a także być jezuitą jako ksiądz, a nie być księdzem „diecezjalnym” przebranym za jezuitę.



kalaureatem. I – ku memu zaskoczeniu – zamiast na magisterkę wysłano mnie na teologię na Bobolanum do Warszawy.

Po zakończeniu pierwszego cyklu teologii pojechałem do USA, gdzie miałem podjąć studia z poradnictwa psychologicznego, które miały mnie przygotować do wykładania teologii pastoralnej na Bobolanum. Nawet w tym kierunku zacząłem robić licencjat, ale już po roku okazało się, że jednak nie wrócę do Warszawy. Wtedy zmieniłem tok studiów i za namową amerykańskich jezuitów rozpocząłem studia z zakresu klinicznej pracy socjalnej na Boston College, jednocześnie biorąc udział jako visiting scholar w zajęciach z psychoanalizy w jednym z tamtejszych Instytutów Psychoanalizy (PINE). W Bostonie miałem także kilkumiesięczne staże kliniczne w szpitalu psychiatrycznym oraz w poradni psychologicznej.

W trakcie formacji seminaryjnej nie opuszczały mnie myśli o zakonie, a poprzez lektury zaczęły fascynować mnie jezuiti

Po trzech latach pobytu w USA wróciłem do Krakowa z ofertą rozpoczęcia studiów doktoranckich z psychologii religii na UJ. Ówczesny prowincjał zdecydował jednak, abym doktoryzowałem się eksternistycznie, a dydaktycznie zaangażował się w Ignatianum. W tym czasie zacząłem też szkolić się z psychoterapii – tak aby wiedzę teoretyczną łączyć z doskonaleniem warsztatu terapeuty.

W tamtym okresie dokonał się kolejny zwrot w kształtowaniu mojego powołania

w powołaniu, bo odkryłem w sobie pasję publicysty. Poprzez stopniowe wchodzenie w środowisko „Tygodnika Powszechnego” zacząłem coraz więcej pisać. Równocześnie współpracowałem z „Życiem Duchowym” i Wydawnictwem WAM. Po kilku latach „Tygodnik” zaproponował mi miejsce w redakcji – i tak jest do dzisiaj, choć na tę działalność mam obecnie najmniej czasu. Stare zainteresowania medytacją doprowadziły mnie zaś do tego, że od święceń jestem zaangażowany w dialog międzyreligijny. Na tej płaszczyźnie współpracuję też z Wydawnictwem „Charaktery”.

Powrót z trzeciej probacji zbiegł się z uruchomieniem na Ignatianum psychologii. A wolą przełożonych było, abym w tamtejszym Instytucie Psychologii zaangażował się w pracę naukowo-dydaktyczną. Wkrótce dostałem także propozycję pracy w Centrum Dobrej Terapii – prywatnym ośrodku świadczącym usługi psychologiczne i psychiatryczne. Więc obecnie wygląda to tak, że jeden dzień w tygodniu poświęcam pracy terapeutycznej i konsultacyjnej, pozostałe zaś dzielę pomiędzy Ignatianum, WAM i „Tygodnik Powszechny” – centralne miejsce zajmuje nasza uczelnia, gdzie udało mi się ściągnąć psychologów zajmujących się badaniem religijności i duchowości – od tego roku akademickiego działa tam unikatowa w skali ogólnopolskiej Katedra Psychologii Religii i Duchowości. Obecnie pracuję nad utworzeniem Katedry Psychologii Moralności, wierząc, że w nieodległej przyszłości dzięki takiemu profilowaniu się psychologii na Ignatianum uda nam się zacieśnić współpracę z jezuitami uniwersytetami i wyrobić sobie własną markę. Ponadto prowadzę zajęcia na Bobolanum, w Collegium Civitas oraz szkołę psychoterapeutów w zakresie religii i duchowości

w kontekście klinicznym; współpracuję również z Centrum Kopernika.

Reasumując, swoje powołanie w powołaniu przeżywam jako jezuita pracujący na granicach. Do tego przez lata dojrzewałem i w tym czuję się najlepiej. Taką granicą eklezjalną jest praca w „Tygodniku Powszechnym”, bo to środowisko przyciąga ludzi poszukujących, wątpliwych albo mających innego typu trudności z wiarą lub Kościołem. Inną granicą jest styk psychoterapii z religią i duchowością – zarówno od strony akademicko-klinicznej, jak i poprzez osobiste kontakty z tym środowiskiem, np. od wielu lat biorę udział w seminariach prowadzonych w ramach Zakładu Terapii Rodzin CM UJ, na których spotykają się psychiatry, psychoterapeuci oraz księża. „Ostatnią” granicą jest mój kontakt z wyznawcami innych religii. Niedawno współprowadziłem dni skupienia poświęcone medytacji w chrześcijaństwie i judaizmie.

Bycie jezuitą, nie jest byciem jeszcze jednym księdzem w Polsce

Oprócz pracy na granicach papież Franciszek wzywa nas do pracy na peryferiach. Swoje duszpasterskie peryferia odkryłem w Krakowie, gdzie na Małym Rynku, w kościele św. Barbary, mam stałą Mszę Świętą w niedzielę o godz. 16:00, a od niedawna również piątkowy dyżur w konfesjonale. Biorąc pod uwagę, że granice dzielą, a peryferia wykluczają, posługa duszpasterska w samym „sercu” Krakowa jest dla mnie okazją do tego, aby pracować w „szpitalu polowym” do którego może przyjść każdy, kto czuje taką potrzebę.

W ten sposób staram się realizować posługę intelektualną, do jakiej wzywani i o jaką proszeni są jezuiti, a także być jezuitą jako ksiądz, a nie być księdzem „diecezjalnym” przebranym za jezuitę.

Marzy mi się, że wśród młodych jezuitów znajdzie się ktoś, kto potraktuje psychologię i psychoterapię na tyle poważnie, że one staną się jego powołaniem w powołaniu. Bo tylko dzięki wymianie pokoleniowej można będzie nadać psychologii na Ignatianum jezuitckie „szlify”. Z drugiej zaś strony jezuiti kojarzą się wielu osobom jako najbardziej „spsychologizowany” zakon przez swoją duchowość (rozeznawanie i Ćwiczenia duchowe) oraz jakość formacji intelektualnej. A historyczne dziedzictwo kazuistyki utrwaliło w wyobraźni ludzi przekonanie, że jezuiti są specjalistami od spraw złożonych, do rozwiązania których trzeba dobrze znać meandry ludzkiej duszy i psychiki. Więc żeby to nie były jedynie laurki na wyrost albo wspomnienia chwalebnej przeszłości, sami musimy zadbać o to, aby nie tworzyć i nie podtrzymywać złudzeń. Osobiście miałbym dużą satysfakcję, gdybym widział, że ktoś z młodszych jezuitów przygotowuje się do takiego zadania, i sam – na tyle, na ile potrafię – pomógłbym mu w odnalezieniu się w takim powołaniu w powołaniu. Kończąc, młodszym współpracownikom chciałbym powiedzieć, żeby nie bali się studiować, nie bali się myśleć oraz docenili możliwości, jakie daje im Towarzystwo. Bycie jezuitą, nie jest po prostu byciem jeszcze jednym księdzem w Polsce. ■

JACEK PRUSAK SJ

jezuita, psycholog, psychoterapeuta, wykładowca akademicki, publicysta; mieszka w Krakowie.

Pokochać drugie powołanie

Wojciech Żmudziński SJ

Pokochałem to moje drugie powołanie, które zmieniło mnie z długowłosego jezuitę, który krąży po ulicach w poszukiwaniu naćpanej młodzieży, w statecznego ojca dyrektora.

Wstępując do jezuitów, miałem pragnienie służenia Chrystusowi, choć nie wiedziałem, jak by to miało w praktyce wyglądać. W historii Towarzystwa Jezusowego imponowała mi jezuicka kreatywność i gotowość pójścia tam, gdzie inni nie idą. Po nowicjacie, podczas studiów filozoficznych, pomagałem nastolatkom uciekającym z domów, którzy zafascynowani byli ówczesnymi subkulturami, sektami czy narkotykami. Wydawało mi się, że to właśnie pośród nich będzie moje miejsce, gdy ukończę zakonną formację. Tym bardziej że na jej kolejnych etapach łączyłem z powodzeniem studia i opiekę nad staczającymi się na dno narkomanami. Przez dwa lata byłem też wychowawcą w jednym z włoskich ośrodków dla uzależnionych, a w trakcie studiów teologicznych w Rzymie zajmowałem się tzw. streetworkingiem. Zatem wiedziałem, co chcę jako jezuita robić, i starałem się do tego solidnie przygotowywać. Wszystkie te misterne plany przerwało pewne wydarzenie.

TELEFON ZMIENIŁ WSZYSTKO

– Czy znasz angielski? – zapytał mnie przez telefon prowincjał, który właśnie przebywał w Rzymie.

– Znam, ale nie na tyle, aby coś profesjonalnie przetłumaczyć.

– Nie o tłumaczenie chodzi, tylko o udział w pewnej konferencji dla dyrektorów szkół.

– A co ja mam z tym wspólnego? – zapytałem zdezorientowany.

– Przyjdź, to porozmawiamy.

Udałem się więc na Borgo Santo Spirito i siedząc naprzeciwko prowincjała, słuchałem go z niedowierzaniem:

– Chcemy otworzyć w Gdyni szkołę i potrzebujemy ludzi, którzy mogliby się tym zająć. W przyszłym tygodniu odbę-

dzie się szkolenie w Villa Cavaletti, w którym weźmiesz udział. A gdy skończysz specjalizację z teologii, pojedziesz na studia z zarządzania oświatą.

– Gdzie? Na jak długo? – dopytywałem, nie mogąc do końca w to uwierzyć.

– Do Nowego Jorku na dwa lata.

– Ale przecież mam zakładać w Polsce ośrodki dla narkomanów...

Wówczas zrodziło się we mnie pragnienie bycia podobnym dyrektorem. I takim starałem się być

Na nic się zdały moje argumenty. Nie pomogło też tłumaczenie, że mam zobowiązania wobec zagranicznych partnerów, że poczyniłem wiele ustaleń z darczyńcami i że mam już przygotowanych współpracowników. W ten sposób z ciężkim sercem rozstałem się z precyzyjnymi planami mojej przyszłej pracy na obrzeżach Kościoła.

DYREKTOR Z KONEWKĄ

Podczas studiów z zarządzania rozpocząłem praktykę w jezuickiej szkole w Chicago. Wówczas odżyłem na nowo. Poznałem tam nauczycieli, dla których praca była prawdziwą misją. Po raz pierwszy też rozmawiałem z woźnym, który nie tylko kochał swoją pracę, lecz także potrafił opowiadać poruszające historie o uczniach.

Wchodząc pewnego dnia do szkoły, zastałem dyrektora podlewającego kwiaty. Ten widok trochę mnie zaskoczył. Przyzwyczaiałem się bowiem do obrazu przełożonego, który nie ma na nic czasu. Ów amerykański dyrektor zaś znalazł czas na to, by podlewać kwiaty(!).



Można pokochać szkołę i być Bogu wdzięcznym za każdego, nawet najtrudniejszego ucznia – zresztą tych lubiłem najbardziej. Bo grzeczni uczniowie mnie trochę nudzili, a rodzice, którzy przywiązywali zbyt dużą wagę do stopni – niepokoiли.

– Ufam swoim współpracownikom, dlatego wiele decyzji podejmują sami – odpowiedział, gdy go o to zagađnałem.

– A uczniowie nie ustawiają się w kolejce ze swoimi problemami? – dopytywałem.

– Od tego mają wychowawców. Do mnie przychodzą wtedy, gdy chcą się czymś pochwalić lub uzyskać zgodę na realizację większego projektu.

Wówczas zrodziło się we mnie pragnienie bycia podobnym dyrektorem. I takim starałem się być, gdy przez kolejne lata zajmowałem się prowadzeniem placówki doskonalenia nauczycieli, której do dzisiaj jestem dyrektorem, oraz gdy w latach 2002-2007 zarządzałem jezuicką szkołą w Gdyni – w tym roku zakończyłem dwudziestoletnią pracę delegata prowincjała ds. szkolnictwa. Któż wie, co będzie dalej, z jakim zaskoczeniem będę słuchał kolejnego pomysłu prowincjała? Powołanie nie jest bowiem odpowiedzią tylko na jedno wołanie, lecz gotowością do podjęcia każdego wyzwania. I umiejętnością pokochania go.

DO FRYZJERA

Kierowanie szkołą to oczywiście nie tylko podlewanie kwiatów. To przede wszystkim praca z ludźmi, budowanie zgranego zespołu, tworzenie tożsamości szkoły i klimatu, który sprzyja wychowaniu młodego pokolenia. Pokochałem to moje drugie powołanie, które zmieniło mnie z długowłosego jezuity, który krąży po ulicach w poszukiwaniu naćpanej młodzieży, w statecznego ojca dyrektora.

Słowo „szkoła” pochodzi od greckiego „scholē” i pierwotnie oznaczało miejsce wspólnego świętowania. Jednak ilekroć mówiłem o tym uczniom, drwiący – choć sympatyczny – uśmiech rysował się na ich twarzach. Bo jakże trudno jest dziś myśleć

o szkole jako o miejscu, do którego chodzenie jest przyjemnością – również dla dyrektora.

Nawet listonoszka zatrzymała się i zajrzała do mnie, szczerząc radośnie zęby

Praca z nauczycielami – zarówno w szkole, jak i podczas szkoleń, które do dzisiaj prowadzę – zawsze była dla mnie przygodą. Był to czas odkrywania wspólnych pasji i wyszukiwania sposobów, jak zarażać nimi podopiecznych. Można bowiem pokochać szkołę i być Bogu wdzięcznym za każdego, nawet najtrudniejszego ucznia – zresztą tych lubiłem najbardziej, co mi chyba pozostało z mojego pierwszego zakonnego powołania. Mówiąc szczerze: grzeczni uczniowie mnie trochę nudzili, a rodzice, którzy przywiązywali zbyt dużą wagę do stopni – niepokoiłi. Poza tym szkoła jako miejsce, w którym realizowałem swoje powołanie, stwarzała dla mnie okazję do oddziaływania nie tylko na uczniów, ale także na ich rodziców; nie tylko dawała mi możliwość budowania relacji ze współpracownikami, lecz także z wieloma organizacjami, przedstawicielami władz, darczyńcami, mediami i urzędnikami.

JAK TO ZMIERZYĆ?

Nie przywykłem mierzyć jakości szkoły ilością olimpijczyków, choć tych owoców pracy ucznia i nauczyciela nie można nie zauważać. Wysokie noty uzyskiwane przez uczniów na świadectwach i egzaminach zewnętrznych mówią sporo o poziomie nauczania w danej placówce, ale ►

czy mówią coś o jej katolickim charakterze? Statystyka ma często niewiele wspólnego z osobistymi sukcesami uczniów. Bo jak za jej pomocą zmierzyć czy wykazać, że ktoś odkrył własną pasję, przezwyciężył własne słabości albo doświadczył własnej bezinteresowności?

Prowadząc szkołę, chcieliśmy wychować chrześcijanina świadomego swojej roli w Kościele i w społeczeństwie, wrażliwego na potrzeby innych, kompetentnego, otwartego, chcącego się rozwijać we wszystkich dziedzinach życia. Czy nam się to udało? Przyznam, że spotykając absolwentów, jestem z nich dumny. Bo choć różnie potoczyły się ich losy, to jednak wrażliwość i bezinteresowność pozostała. Warto więc było się trochę natrudzić.

KOLEKCJONER UŚMIECHÓW

W pracy w szkole nie brakowało trudnych chwil, gdy wszystko wydawało się walić. Mimo to doświadczałem tam szczerzej radości, przekonania, że to, co robię, jest tym, do czego powołał mnie Bóg. Choć nie byłbym precyzyjny, mówiąc, że wszystko zawdzięczam Bogu. Najpiękniejsze dni, jakie spędziłem w szkole i w Centrum Arrupe, zawdzięczam moim świeckim współpracownikom. Każde powołanie zakonne jest dla ludzi. A gdy ludzie czują, że jesteście dla nich, a nie dla instytucji, potrafią okazać swoją troskę i miłość.

Pewnego dnia miałem już wszystkiego solidnie dość. Byłem tak zestresowany, że chętnie bym komuś przyłożył. Wówczas oświadczyłem współpracownikom, że nie ma mnie dla nikogo i zamknąłem się w swoim gabinecie. Jednak po chwili refleksji zrozumiałem, że nie tędy droga. Że choć zniknął uśmiech z mojej twarzy, to nie należy się poddawać. Wziąłem więc kartkę papieru i napisałem na niej grubym flamastrem: „jeśli chcesz się do

mnie uśmiechnąć, to możesz wejść”. Po czym otworzyłem ponownie drzwi, przytwierdziłem do nich kartkę i głośno je zamknąłem. Następnie usiadłem znowu za biurkiem. Po chwili drzwi się uchyliły. A w nich pojawiła się uchachana buzia mojej koleżanki. Po niej zaś kolejne osoby wysyłały w moją stronę promyki radości. Nawet listonoszka zatrzymała się i zajrzała do mnie, szczerząc radośnie zęby.

„Jeśli chcesz się do mnie uśmiechnąć, to możesz wejść”

Staram się takie chwile zapamiętywać. I gotowy jestem pójść z entuzjazmem wszędzie tam, gdzie posłają mnie przełożeni. Byleby byli tam ludzie.

Dzisiaj nadal prowadzę placówkę doskonalenia nauczycieli, którą nazwałem „Centrum Kształcenia Liderów i Wychowawców im. Pedro Arrupe”. Pracuje ze mną ponad pięćdziesięciu trenerów, z którymi realizuję programy szkoleniowe w Polsce i za granicą. I przyznam, że jest to dla mnie wielka, pasjonująca przyгода, za którą nie przestaję Bogu dziękować. Jednocześnie uczę się wciąż, jak okazywać ludziom wdzięczność oraz jak, pracując z poświęceniem, znajdować czas na podlewanie kwiatów. ■

WOJCIECH ŻMUDZIŃSKI SJ

jezuita, dyrektor Centrum Kształcenia Liderów i Wychowawców im. Pedro Arrupe (Centrum Arrupe); autor książek i wielu artykułów z zakresu edukacji, profilaktyki uzależnień i teologii biblijnej; mieszka w Warszawie.

Pisanie wyssałem z mlekiem matki

Z ojcem Józefem Augustynem SJ rozmawia Piotr Bugiel SJ

Jest ojciec cenionym kierownikiem duchowym i rekolekjonistą. W jaki sposób Bóg prowadził Ojca w kierunku takiej właśnie posługi?

Poprzez ludzi. Robiłem studia w posoborowym klimacie, gdy wracano do źródeł. Jezuici wracali do Ćwiczeń duchownych, które są udzielane w oryginalnej formie, bo każdy ich uczestnik prowadzony jest indywidualnie. Darem Opatrzności były moje spotkania z jezuitami, dla których Ćwiczenia były życiową pasją. Chciałbym wymienić tu cztery nazwiska: Norbert Kotyła, Federico Arvesú, Gilles Cusson, André de Jaer. Nie traktowałem ich jednak jako specjalistów, tylko współbraci, duchowych ojców, którzy mogą mi pomóc. Wszystko, czym potem dzieliłem się z innymi, najpierw sprawdzałem na sobie. Po latach widzę to lepiej: uważam, że to jakieś nieporozumienie, gdy księdza, który się pogubi, odsyła się najpierw do psychiatry czy terapeuty.

Dlaczego?

Bo nie ufa się w skuteczność pomocy duchowego ojca.

Co ma ojciec na myśli? Dlaczego warto modlić się w taki właśnie sposób?

Ćwiczenia to nie tylko doskonała szkoła wprowadzenia w życie duchowe, ale także skuteczne narzędzie poznania siebie, odkrywania prawdy o sobie. A prawda jest

taka, że człowiek to istota krucha, wręcz nędzna, przed którą Bóg stawia wielkie zadanie. Każdy, nawet jeżeli ulega egoizmowi, to jednak gdzieś w głębi swego serca chciałby żyć dla innych, być potrzebnym, kochanym.

Udzielił ojciec rekolekcji tysiącom ludzi: świeckim, konsekrowanym, seminarzystom, księżom. Można zatem powiedzieć, że ojca powołaniem w powołaniu jest właśnie dawanie Ćwiczeń duchowych. Jak ojciec patrzy na to swoje zaangażowanie z perspektywy wieloletniego doświadczenia?

To był wielki dar i wspaniała męska przygoda. Dzięki Ćwiczeniom mogłem spotkać wielu fantastycznych ludzi, pełnych entuzjazmu, poświęcenia dla bliźnich, szukających Boga, i to w różnych częściach świata. Z wieloma robiłem wywiady, które ukazywały się w „Życiu Duchowym”. Ale też – i to także poczytuję sobie za łaskę – otarłem się wielokrotnie o „misterium iniquitatis” („tajemnicę grzechu” – przyp. red.). Jest ono bliżej człowieka, niż nam się zdaje. Niewidoczne latami, „pracuje” jak złośliwy rak, by pewnego dnia nas zaskoczyć. Stąd św. Ignacy zachęca, by codziennie w rachunku sumienia prosić o łaskę poznania grzechu.

Cieszy mnie też fakt, że wciąż istnieje zapotrzebowanie na rekolekcje ignacjańskie. Domy są zajęte. Jeżeli niektórym ►

Wszystko, czym potem dzieliłem się z innymi, najpierw sprawdzałem na sobie



brakuje kandydatów na Ćwiczenia, to – jak sądzę – z powodu ich pasywności. Czekają biernie, aż ludzie do nich sami przyjadą. Jednak czasy biernego czekania na ludzi w zakrystiach czy domach rekolekcyjnych powoli się kończą, a w wielu środowiskach już się skończyły. Dziś trzeba wyjść do ludzi, aby potem oni przyszli do nas. Trzeba wyjść i pokazać, że choć jesteśmy tak samo krusi jak oni, to jednak szukamy Boga i staramy się służyć ludziom, zbawiając w ten sposób nasze dusze. Papież Franciszek robi to fantastycznie. Jeżeli wielu księżom nie podoba się „jego styl”, to pewnie dlatego, że mocno konfrontuje. Papież bowiem zachęca nas do tego, co sam robił przez całe swoje życie – po odbiór kapelusza kardynalskiego szedł do Watykanu pieszo. I ten styl zabrał na Stolicę Piotrową.

Co sprawia największą radość temu, który udziela rekolekcji w duchu św. Ignacego?

Fakt, że jest się naocznym świadkiem szczerzej modlitwy rekolektantów, ich otwierania się na Boga i na ludzi, uspokajania się, przebaczenia sobie i bliźnim. Obecnie czerpię też wiele satysfakcji z zaangażowania w promowanie Ćwiczeń u naszych sąsiadów: w Czechach, na Słowacji, na Ukrainie, na Białorusi, w Rosji – zarówno poprzez publikowanie rozważań opartych na Ćwiczeniach, jak i też bezpośrednio ich udzielanie.

Można „wypalić” się, pełniąc taką posługę?

Gdy ksiądz nie medytuje Słowa Bożego, szybko się wypala. Matka karmiąca niemowlę musi dbać o pożywny pokarm najpierw dla siebie. Jako że w Ćwiczeniach karmimy ludzi Słowem, wpierw sami musimy je spożywać. Rekolekjonista

nie musi być specjalistą od egzegezy, duchowości czy psychologii, ale świadkiem Boga, żyjąc na co dzień Jego Słowem.

Warto zauważyć, że ojciec również sporo pisze. To chyba też rodzaj powołania?

Tak to odbieram. Gdy czytałem w nowicjacie „Znak Jonasza” Mertona, budziło się we mnie marzenie o pisaniu, takie chłopięce. Później przyszło ono samo jako owoc Ćwiczeń. Wszystkie moje książki zrodziły się bowiem z Ćwiczeń. Ich pochodną są też dwa kwartalniki: „Życie Duchowe” i „Pastores”. Także publikacje związane z moim zaangażowaniem w formację kapłańską i w edukację szkolną (wychowanie do życia w rodzinie) są z nimi związane.

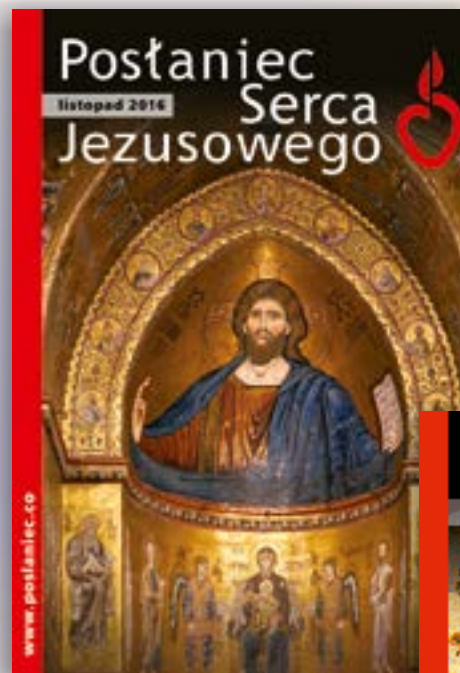
Drugim źródłem mojego pisania jest niewątpliwie wpływ matki. Ona zawsze coś pisała. Mógłbym powiedzieć, że pisanie wysłałem z jej mlekiem. Ostatnio odkryłem jej listy do moich sióstr. Są to niezwykle teksty. Po ich opracowaniu i ocenie przez kilku teologów zostały wydane na użytek rodziny, a teraz czekają na opublikowanie w WAM-ie. Ta prosta, dobra i mądra kobieta, prowadząc głębokie życie modlitwy, podjęła ogromny wysiłek, aby umiejętnie „dobierając słowa” (jej wyrażenie) opowiedzieć – jako świadectwo – swoim córkom o tym, czego doświadczała wewnątrz. Zachowało się jedynie pięćdziesiąt listów, ale zbiór jest reprezentatywny. Zwięzłość i syntetyczność języka oraz głębia treści – to dzisiaj dla mnie ideał, wręcz niedościgniony. ■

**JÓZEF
AUGUSTYN SJ**

jezuita, kierownik duchowy, rekolekjonista, autor książek; mieszka w Czechowicach-Dziedzicach.

Posłaniec Serca Jezusowego

najstarszy miesięcznik katolicki w Polsce



W każdym numerze m.in.

- 🔥 kult Serca Jezusa
- 🔥 intencje papieskie
- 🔥 sylwetki świętych
- 🔥 komentarz liturgiczny
- 🔥 porady duszpasterskie
- 🔥 Biblia i lektura duchowa
- 🔥 z życia Kościoła i Apostolstwa Modlitwy
- 🔥 świadectwa
- 🔥 problemy rodzinne



www.poslaniec.co

**Zaprenumeruj
Posłańca Serca Jezusowego**

Cena 1 egz. w sprzedaży wynosi 5.00 zł, w prenumeracie 4.50 zł.
Koszt prenumeraty indywidualnej 1 egz.:
na kwartał – 13.50 zł
na pół roku – 27.00 zł
na rok – 54.00 zł

tel. 12 62 93 291
prenumerata@poslaniec.co

**Prenumerata dostępna również
w wersji elektronicznej**



wydawnictwo

**Pytaj o „POSŁAŃCA” w parafii, w księgarniach katolickich,
w EMPIK-u oraz na Poczcie Polskiej**

nasz adres: ul. Kopernika 26 ■ 31-501 Kraków ■ tel. 12 62 93 291 ■ fax 12 42 95 003
redakcja@poslaniec.co

Ojciec Piotr Nawrot – jezuita wśród werbistów

Piotr Nawrot SVD

Studiowałem na najlepszych uczelniach w USA,
jednak na żadnym uniwersytecie nie dostałem takiej
lekcji filozofii jak wśród Indian Moxo we wschod-
niej części Boliwii.

Muzyka pasjonowała mnie od zawsze. Już jako chłopiec sporo śpiewałem, później zacząłem grać na klarnecie. Miałem bzika na punkcie jazzu, Benny Goodmana i paru innych saksofonistów. W młodości byłem zakochany w liturgiach poznańskich dominikanów, i tam też chciałem wstąpić. Stało się jednak inaczej, bo wbrew wszelkiej logice, zostałem werbistą. Będąc zagorzałym zwolennikiem jezuickich szkół, prosiłem przełożonych o wysłanie mnie na misje do Japonii lub Chin. A trafiłem do... Paragwaju. Obecnie zaś szukam swego zbawienia wśród Indian Chiquitos i Moxos w Boliwii, gdzie pracuję jako misjonarz.

**W końcu
pojawił się jakiś ślad.
Ale nie tam,
gdzie by się można było
tego najbardziej
spodziewać**

Bycie misjonarzem to jednak nie jedyne moje zadanie. Jest też drugie – poszukiwanie i studiowanie bezcennych manuskryptów z muzyką barokową, czyli odkrywanie i utrwalanie duchowego dziedzictwa jezuitów na tym obszarze – dlatego stałem się też specjalistą od redukcji

***Redukcje** – wioski misyjne, które chroniły Indian przed wyzyskiem ze strony kolonizatorów. Zakładali je przede wszystkim jezuicy misjonarze. W jednej redukcji żyło zazwyczaj 3 misjonarzy oraz od 3 do 5 tys. Indian. Znakomita większość z nich została zlikwidowana w drugiej połowie XVIII wieku, a jezuitów wypędzono.

jezuickich*, i to do tego stopnia, że często biorą mnie za jezuitę, co już niejednokrotnie irytowało moich współbraci.

Będąc w Paragwaju, na każdym kroku napotykałem wspaniałe świadectwa tego, czym były redukcje: ruiny wielkich kościołów, wspaniała architektura, cudowne obrazy, unikatowe rzeźby. Zastanawiałem się więc: a co z muzyką. Bo coś w głębi duszy mówiło mi, że i ona dorównywała tym wspaniałym dziełom sztuki. Dlatego szukałem, pytałem. Jednak przez dłuższy czas nic nie udało mi się znaleźć... W końcu pojawił się jakiś ślad. Ale nie tam, gdzie by się można było tego najbardziej spodziewać...

BAROK Z BUSZU

Był rok 1991, gdy po raz pierwszy dojechałem do redukcji San Ignacio de Moxos w Boliwii, aby zapoznać się z manuskrytem muzycznym strzeżonym przez miejscowych muzyków. (Co ciekawe, po wyrzuceniu jezuitów z ich misji około 1767/1768 roku, redukcje te nie upadły, tylko przetrwały do naszych czasów; uważam, że to dlatego, że misjonarze od samego początku angażowali Indian we wszystkie aspekty życia misji, w tym też w muzykę). Bo to właśnie oni – a nie księża, zakonnicy czy biskupi – przechowywali ów rękopis. „Po co ci to? Dlaczego chcesz poznać muzykę z naszych zbiorów? Co zamierzasz z nią zrobić?” – gwardianie tradycji postawili mnie w krzyżowym ogniu pytań, gdy tylko poprosiłem ich o to, aby pokazali mi manuskrypt – niektóre kopie były tak delikatne, że aż strach było je dotykać. Chociaż wiedzieli, że jestem księdzem, to jednak musieli się upewnić, czy moja wiara nie różni się od ich „credo”. Sprawdzali m.in. to, czy coś wiem o ich historii i o redukcjach jezuickich. Trwało to naprawdę długo, zanim

uznano mnie za człowieka godnego zaufania. Byłem po studiach na najlepszych uczelniach w USA, jednak czegoś podobnego do tej pory nie przeżyłem. Ten egzamin był dłuższy niż moja habilitacja. Nie patrzyłem na zegarek, ale były to przynajmniej trzy godziny pytań i odpowiedzi, ustaleń i zobowiązań, opowiadania o sobie oraz uczenia się od nich. Na koniec Don Marcial – kapelmistrz miejscowego chóru i orkiestry – powiedział: „Jak dobrze, że tutaj przybywasz, że chcesz poznać naszą muzykę. Bo gdyby to zginęło, my wszyscy zblądzimy i zginemy. W tej bowiem muzyce jest nasza wiara”. Była to najcenniejsza lekcja filozofii, jaką kiedykolwiek otrzymałem. Zmieniła ona moje życie, myślenie. A udzielili mi jej ludzie buszu – prości, lecz bardzo roztropni, dla których muzyka z okresu ich pierwszej ewangelizacji była przede wszystkim narracją o ich historii zbawienia. Ów rękopis zaś... to była sensacja w świecie muzykologii na skalę światową!

NIEŚWIĘTE FOTOKOPIE

Na terytorium Moxos muzykę kopiowano dla wszystkich społeczności. Wioski indiańskie mogły nie mieć szkoły, szpitala, sklepu, boiska czy innych instytucji, ale musiały mieć jakąś kaplicę, a w niej kilku muzyków i kopię manuskryptu muzycznego. Dlatego pożyczano je i powielano. Jeździliśmy więc od jednej misji do drugiej, zabieraliśmy do archiwum autentyki, a w ich miejsce pozostawialiśmy fotokopie, by praktykowanie tej muzyki nie zanikło. I muszę przyznać, że nieraz wrzuciłem się do łez, gdy po jakimś czasie wracałem do niektórych z nich. Bo – ku mojemu zdziwieniu – spostrzegłem, że miejscowi muzycy robią z fotokopii ręczną reprodukcję utworu! „Dlaczego to robicie? Przecież mogą wam dać więcej skserowa-

nych stron?!” – dociekałem. Na co odpowiedzieli: „Ależ, ojczy, jak tu chwalić Pana Boga fotokopią”. Zadrzałem ze wzruszenia i podziwu. „Boże, przecież oni mnie ciągle uczą i misjonują!” – westchnąłem jak przy modlitwie.

**„Boże,
przecież oni
mnie ciągle
uczą i misjonują!”
– westchnąłem
jak przy modlitwie.**

Dwadzieścia pięć lat pracy badawczej już za mną. W tym czasie udało mi się sklasyfikować 13 tys. stron muzyki barokowej: ponad 90 mszy polifonicznych, kantaty, nieszpory, antyfony, pasje, lamentacje, koncerty, sonaty, a nawet kilka oper („Życie świętego Ignacego” to opera jezuicka po hiszpańsku; śpiewano ją, gdy misję odwiedzali jacyś dostojnicy, i w jej święto patronalne; inna to „Święty Franciszek Ksawery”). Mamy tam zatem repertuar muzyczny na cały rok liturgiczny, z wszystkimi jego częściami składowymi. Teksty są najczęściej w językach Indian lub po łacinie, rzadziej – po hiszpańsku.

Ciesz się, że w Boliwii tysiące młodych ludzi wciąż czyta muzykę i szczyści się swą kulturą misyjną, która dzięki naszemu wspólnemu działaniu ciągle żyje, ewangelizuje i jednoczy, podnosi człowieka na duchu i chwali Pana Boga. Jak ufam „Ad Majorem Dei Gloriam”.

**PIOTR
NAWROT SVD**

werbista, muzykolog, misjonarz i misjolog; wykłada na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; mieszka w Boliwii.



Jeśli od słowa „powołanie” odetniemy „po”, to zostaje samo „wołanie”, Boże wołanie. On zaś, wołając człowieka, wzywa go z całym dorobkiem, który ów ma. Wzywa z całą świadomością, że uczestnicząc w życiu danego zakonu, wnosi tam swój kapitał, który w sobie rozwija.

DZIWNY KSIĄDZ

Ze mną było tak, że zastanawiałem się, czy wybrać dominikanów czy franciszkanów. Dlatego szukałem jakiejś podpowiedzi, która w końcu nadeszła. Pewnego razu prowadziłem w Przemyślu festiwal muzyki chrześcijańskiej. Była tam duża sala z balkonem, na którym siedział franciszkanin. Pomyślałem sobie, że to jakiś dziwny ksiądz. Bo kapłan jest zazwyczaj ładnie ubrany, zaczesany, ma czarne, błyszczące buty; nie inne! Po jakimś czasie zapowiedziałem przemyski chór. Wówczas, ku mojemu zdziwieniu, wyszedł ów franciszkanin i zaczął śpiewać: „Going up yonder”, co mnie po prostu „wryło”... Właśnie wtedy powiedziałem sobie: Tak! Panie Boże, mam! Potem zacząłem szukać informacji o św. Franciszku i franciszkanach, co jeszcze bardziej mnie przekonało do podjęcia tej decyzji.

Zastanawiałem się, czy wybrać dominikanów czy franciszkanów

Wstępując do zakonu, chciałem pomagać, zwłaszcza młodym ludziom. A przy tej pracy ważne jest, aby rozwijać inne predyspozycje, które się ma: w moim przypadku sport i muzykę, bo są to moje dwie pasje, w których mam taki „Boży dopalacz”. Ludzie często pytają mnie, czy współbracia nie mają nic przeciwko, że

śpiewam, że koncertuję, jeżdżę, występuję. Wówczas odpowiadam: Co będzie, gdy stanę przed Bogiem, a On mnie zapyta: „W jaki sposób rozwinąłeś swoje zdolności, które ci dałem? Jak się nim dzielisz? Jak przeżywałeś swoje powołanie w powołaniu, rozwijając talent do muzyki i sportu?”. Nam, księżom, wydaje się często, że będąc kapłanem, wystarczy odprawić Mszę Świętą. I tyle... Tak, to prawda; Msza Święta jest najwspanialszą formą modlitwy. Róbmy jednak wszystko, abyśmy na niej nie byli sami, wykorzystując do tego predyspozycje, które dał nam Bóg.

GDZIE TYLKO SIĘ DA

Moim marzeniem było zawsze to, aby nagrać płytę z muzyką, którą słyszę w mediach mainstreamowych. Ale z tekstami, które będą mówiły o dobrych wartościach – o Bogu. Lecz zanim do niej dojrzałem, nagrałem trzy inne. To one niejako omdliły projekt „Możesz więcej”. W jego ramach udało się nagrać jedenaście historii. Prawdziwych historii. W tym moją, tzw. „Moja droga do Camino”. I za pomocą tej muzyki dzisiaj ewangelizuję. Bo ta płyta nie powstała dlatego, że chciałem mieć kolejną w swoim dorobku, tylko po to, abym mógł się spotykać z młodymi ludźmi, którym za pomocą słów i melodii w ramach akcji „Obudź się! Możesz Więcej!” chcę pokazywać wartość życia. W ten sposób staram się ich inspirować, zachęcać do tego, aby je jak najlepiej przeżywali. Spotkań z młodzieżą zaś nie organizujemy jedynie w kościołach. Ruszamy wszędzie, gdzie tylko się da! Odwiedzamy szkoły, domy kultury, poprawczaki, hospicja; koncertujemy. Staramy się być tam, gdzie można głosić Ewangelię. Kierujemy się bowiem słowami Papieża, który mówił do zakonników: „wyjdziecie na zewnątrz, by pomagać innym”. Idziemy więc tam, gdzie

ludzie są głodni Boga. Bo nie jest sztuką zmusić młodzież, aby przygotowała się do bierzmowania, a potem pomachała nam indeksem... Wręcz przeciwnie. Trzeba wejść w rzeczywistość, w której przebywają młodzi ludzie, pobyc z nimi. I dopiero potem zaprosić ich na spotkanie.

TEAM SPIRIT

Jak już wspominałem, mam też powołanie do sportu. Gdy odprowadzam Mszę rano u sióstr, jadę tam na longboardzie. Kiedyś przytrafiła mi się zabawna historia z tym związana: Po drodze spotkałem trzech bezdomnych. Powiedziałem im: „Szczęść Boże, Panowie! Tylko nie grzejecie tak od samego rana!”. Po czym jeden z nich spojrział na mnie tak, jakby ducha

zobaczył i powiedział: „Co to, Bóg na wakacjach, bo mnichy na deskach jeżdżą”.

Uczyłem piłkarzy katechezy. I tak ich pokochałem, że napisałem dla nich książkę

Kiedy jeżdżę wieczorami na deskorolce i widzę młodych, staram się do nich podejść i zagadać. Doświadczenie zaś uświadamia mi, że taka forma pracy to dobry kierunek.

Pracowałem m.in. jako katecheta we Włocławku, w Szkole Mistrzostwa ▶

Wstępując do zakonu, chciałem pomagać, zwłaszcza młodym ludziom. A przy tej pracy ważne jest, aby rozwijać inne predyspozycje, które się ma: w moim przypadku sport i muzykę, bo są to moje dwie pasje, w których mam taki „Boży dopalacz”.



Archiwum autora

Sportowego, gdzie uczyłem piłkarzy. I tak ich pokochałem, że napisałem dla nich książkę „Boskie Futbolowo”. Zawarłem w niej hasło: „Jak iść przez życie, żeby je dobrze przeżyć”. Ksiądz Edward Pleń, krajowy duszpasterz sportowców i olimpijczyków, powiedział, że to taki sportowy YouCat. W tej książce są m.in. świadectwa młodych ludzi, którzy opowiadają, jak za pomocą sportu zmienili swoje życie. Powiedziałem im kiedyś: „Będę z wami w szkole, będę na boisku, ale was chcę widzieć w kościele – najlepiej w niedzielę”. Młodzi to docenili i po meczu niejednokrotnie wykazywali inicjatywę, aby pójść na Mszę albo przynajmniej się pomodlić. Nieraz też mówili, że dzień jest nudny, temat ciężki – chodźmy do kościoła. I szliśmy całą klasą, a ja ich po drodze katechizowałem. Poprosili mnie też o ułożenie modlitwy, którą mogliby odmawiać przed meczem. Ułożyłem. A oni klękali przed każdym spotkaniem w kółku, po czym chwyтали się za ręce i się modlili. Wiem, że po dziś dzień się modlą... Świadectwa zaś, które nadsyłają, niejednokrotnie pomagały mi przetrwać trudne chwile. Tak też było w przypadku RekoSKI, czyli rekolcji snowboardowo-narciarskich, podczas których młodzi zarazili mnie pasją do snowboardu. I to do tego stopnia, że w tym roku odbędzie się już VI edycja tych rekolcji – i to z pięcioma turnusami. W tym czasie będziemy zachwycać się Bożą miłością i szkolić umiejętności jazdy na stoku.

NIE ŚPIJ

Przeżywanie powołania i dzielenie się tym, co mam, daje mi ogromną radość – w moim przypadku bycia bratem młodszym. Pierwszy punkt naszej reguły mówi: „Życie braci mniejszych polega na zachowywaniu Ewangelii”. Żyję więc Ewangelią i staram się dawać drugiemu tak, jak po-

trafię. Myślę sobie: skoro Bóg daje ci muzykę i sport, abys głośił Ewangelię... rób to! Bo jeśli to uspisz, stanie się to twoim wyrzutem sumienia. Nasze lenistwo i bezradność powodują, że usypiamy. A przecież Bóg wzywa nas, abyśmy działali! Abyśmy tego Boga, którego sami doświadczamy, dawali innym. Zwłaszcza przez to dobro, które od Niego mamy.

**Powiedziałem im kiedyś:
„Będę z wami w szkole,
będę na boisku,
ale was chcę
widzieć w kościele”.
Młodzi to docenili**

Widzę też, jak bardzo przydatną rzeczą jest cierpliwość. A mam taką naturę, że chciałbym od razu widzieć efekty swojej pracy. Dlatego gdy jestem pełen niepokoju, czy wszystko zrobiłem najlepiej, jak mogłem, przypominam sobie rozmowę z moim współbratem, również muzykiem, który jest członkiem zespołu Bronx Father Stan Fortuna, C.F.R.: – Głosiłeś Chrystusa? – zapytał. – Tak – odparłem. – Głosiłeś Ewangelię? – Tak! – To pozwól Bożemu Słowu teraz działać. Te słowa uzmysławiają mi, na czym polega właściwe przeżywanie „powołania w powołaniu” – na współpracy z Bogiem. Nie chodzi przecież o to, aby mieć więcej laików na Facebooku czy wyświetleń na YouTube. Nie tędy droga...

**ŁUKASZ
BUKSA OFM**

franciszkanin, duszpasterz młodzieży, promotor powołań; mieszka w Krakowie.



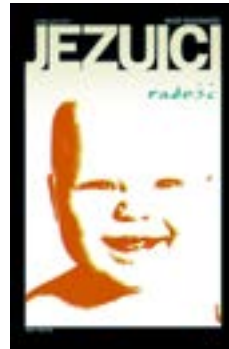
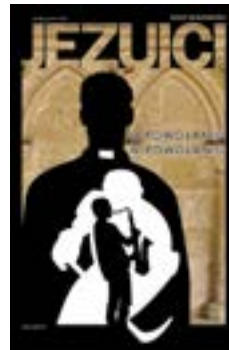
DEON.PL

Kościół i Świat z lepszej strony



NOSZĄC GO
W KIESZENI, MASZ PRZY
SOBIE WSZYSTKIE NUMERY
JNW OD 1985 ROKU...

WWW.NASZEWIADOMOSCI.JEZUICI.PL



52 1240 4650 1111 0010 5359
0919

odbiorca:

Jezuici-Nasze Wiadomości
Kopernika 26,
31-501 Kraków

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:

Darowizna na cele kultu religijnego

Wpłata gotówkowa

J E Z U I C I - N A S Z E W I A D O M O Ś C I
K O P E R N I K A 2 6 , 3 1 - 5 0 1 K R A K Ó W

Nazwa odbiorcy cd.

L.k. Nr rachunku odbiorcy:

5 2 1 2 4 0 4 6 5 0 1 1 1 1 0 1 0 5 3 5 9 0 9 1 9

W a l u t a :

W P P L N

K w o t a

Nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

Nazwa zleceniodawcy

Nazwa zleceniodawcy cd.

Tytułem:

D A R O W I Z N A N A C E L E K U L T U
R E L I G I J N E G O

Tytułem cd:

odcinek dla banku / odbiorcy

powod/pokwitowanie dla odbiorcy

Oplata:

Oplata:



JEZUICI®

nasze wiadomości

To już 50. numer naszego czasopisma. Jak zwykle prosimy Was, Drodzy Czytelnicy, abyście przekazywali i udostępniali je swoim krewnym i znajomym. Jeżeli chcielibyście, aby "Jezuici - Nasze Wiadomości" docierało bezpośrednio do Waszych przyjaciół i znajomych, prosimy o przesłanie do redakcji odpowiednich adresów. Nasze pismo jest rozsyłane nieodpłatnie oraz istnieje możliwość pobrania go wraz z poprzednimi numerami z naszej strony internetowej www.naszewiadomosci.jezuici.pl. Jednocześnie bardzo Wam dziękujemy za wsparcie modlitewne, a także i materialne.

Jezuici w Polsce prowadzą parafie z ich dziełami charytatywnymi, domy rekolekcyjne, zaangażowani są w edukację i formację ludzi, którzy chcą być dla i innych, wspomagają duszpastersko polskich emigrantów oraz organizują pomoc dla misjonarzy w Afryce, Ameryce Południowej i w Azji. Z bardziej szczegółową listą naszych zaangażowań mogą się Państwo zapoznać na stronie naszego zakonu www.jezuici.pl/dziela.

Dzieła te utrzymywane są dzięki otwartości i wsparciu naszych Przyjaciół i Dobroczyńców. Również kształcenie młodych jezuitów nie byłoby możliwe bez tej życzliwości i pomocy z zewnątrz. Zapraszamy także Was do włączenia się w te dzieła niosące tak wiele dobra innym. Możecie to uczynić, wspierając finansowo nasze wysiłki. Zachęcamy do skorzystania z niniejszego formularza. Istnieje ponadto możliwość przeznaczenia datków na cel konkretnego dzieła prowadzonego przez jezuitów obu polskich prowincji – wystarczy w rubryce tytułem dopisać jego nazwę. Jesteśmy wdzięczni za wszelkie ofiary i zapewniamy o naszej pamięci modlitewnej.



REDAKCJA JEZUICI NASZE WIADOMOŚCI

RED. NACZ.:
Artur Patalong SJ
Z-CA RED. NACZ.:
Michał Maciejny SJ

REDAKCJA:
Piotr Bugiel SJ,
Wojciech Sobczuk SJ

REDAKCJA TEKSTÓW:
Artur Patalong SJ

KOREKTA:
Grażyna Berger

SKŁAD I GRAFIKA:
Michał Maciejny SJ

KURATOR NUMERU:
Andrzej Migacz SJ

OKŁADKA:
Michał Maciejny SJ

NAKLAD:
3200 egz.

KORESPONDENCJA:

Jezuici - Nasze Wiadomości
ul. Kopernika 26
31-501 Kraków

naszewiadomosci@jezuici.pl
naszewiadomosci.jezuici.pl

OPIEKUN KRĘGU PRZYJACIÓŁ JEZUITÓW:

Mariusz Balcerak SJ
skr. p. 128
30-961 Kraków 1

mar.bar765@gmail.com



Akademia Ignatianum w Krakowie

STUDIA

WYDZIAŁ
ZAMIEJSCOWY
NAUK
HUMANISTYCZNYCH
I SPOŁECZNYCH
W MYSŁOWICACH

pierwszego stopnia:
**filologia angielska,
dziennikarstwo i komunikacja społeczna,
pedagogika.**
drugiego stopnia:
pedagogika
oraz podyplomowe na 21 kierunkach

ul. Powstańców 19
41-400 Mysłowice
tel. 32 772 37 30
sekretariat.wz@ignatianum.edu.pl



